



Fot. Ewelina Jaworska

Włosy zostały u fryzjera

Łukasz Wieliczko

l.wieliczko@gazetaolsztynska.pl

Kończy karierę Budka Suflera... Spędził pan w tym zespole 10 lat, w tym czasie nagrywając osiem płyt. Jakby pan to wydarzenie skomentował? Robi to na panu, jakiegokolwiek wrażenie?

— Nie robi to na mnie ani pozytywnego, ani negatywnego wrażenia. Losy tego zespołu, a w zasadzie tej firmy — bo zespół to był, kiedy współtworzyliśmy go w piątkę, z Mietkiem Jureckim i ze mną — są mi obojętne. Tamten skład to był zbiór kompetentnych ludzi z pewną ideą, którą udało nam się wdrożyć w życie i odnieść dość spektakularny sukces muzyczny (choćby płyta „Nic nie boli tak jak życie” — najlepiej sprzedający się album w historii polskiej muzyki — red.). Później na polskim rynku nie pojawił się już żaden przebój porównywalny do naszych wspólnych dokonań.

— Mietek Jurecki pojawił się na kilku pożegnalnych koncertach Budki. Pan dostał zaproszenie na któryś z nich?

— Nie dostałem. Koledzy chyba czuli, że po tym, co się między nami wydarzyło, i tak bym go nie przyjął. A co się wydarzyło — niech zostanie między nami.

— Jak pan wspomina tę współpracę z perspektywy czasu?

— Bywało różnie — tak jak w życiu: są momenty fajne, trudne i nijakie. Idea nowego kształtu tego zespołu zrodziła się w 1992 roku, do osiągnięcia komercyjnego sukcesu w roku 1997 minęło pięć lat. Budka przez kilka lat była nieobecna na rynku, więc to był okres bardzo ciężkiej pracy, walki o to, żeby zaistnieć. Wiele prób, wiele koncertów... Te „chude lata” to był czas naprawdę bliskiej więzi z kolegami. Później, wraz z nadejściem sukcesu, kiedy funkcjonowaliśmy muzycznie na

naprawdę wysokim poziomie i towarzyszył nam splendor zespołu numer jeden w kraju, gdzieś się nam te towarzyskie więzi rozeszły i to wszystko się rozkleiło. Tam, gdzie są pieniądze, są i konflikty. Tak jak w życiu: jak w firmach, spółkach i małżeństwach. W pewnym momencie biznes staje się ważniejszy od przyjaźni.

— Chyba tego rozstania pan jednak nie żałuje? Poszedł pan swoją drogą...

— Na pewno z perspektywy czasu nie żałuję, mam czas i szanse na realizację swoich projektów. A przeczuwałem, że to w końcu nastąpi i przygotowywałem się do solowej działalności.

— Gdy śledzi się pana karierę, to stałe są tylko zmiany. Zaczęło się od perkusji?

— W zasadzie tak, zanim poważnie zająłem się gitarą, skończyłem szkołę muzyczną w klasie perkusji, choć jeszcze wcześniej był akordeon. Interesowałem się muzyką od dziecka, być może to geny odziedziczone po ojcu, który był ludowym grajkiem (śmiech).

— Z tą perkusją załapał się pan na początki legendarnego polskiego TSA.

— To było tuż przed debiutem opolan w Jarocinie, więc — co chciałbym podkreślić — przed oficjalnym startem zespołu. Pochodzę z Kędzierzyna, ale w Opolu uczyłem się w szkole muzycznej. Po prostu grałem z grupą przyjaciół z tego miasta: Stefanem Machelem, Andrzejem Nowakiem, Jankiem Niekraszem. Później dołączył do nich Marek Kapłon i w tym składzie, jako TSA, choć ta nazwa funkcjonowała już wcześniej, wygrali Jarocin. Po tamtym sukcesie doszedł do nich Marek Piekarczyk.

— Z TSA miał pan okazję zagrać już jako gitarzysta 30 lat później, gościnnie, za Andrzeja Nowaka, który wtedy miał problemy zdrowotne. Jak wrażenia?

— To incydent, taki ukłon moich kolegów w moją stronę... Andrzej był wtedy w szpitalu, ja grałem na tej samej scenie z zespołem Pi-eR-2, więc koledzy mnie zaprosili do gościnnego udziału. Ot, takie przyjemne, sentymentalne muzyczne spotkanie towarzyskie po latach.

— Przy tym drugim kontakcie z TSA był pan już uznanym w środowisku gitarzystą z bogatą przeszłością. Dlaczego wybrał pan gitarę?

— Cały czas interesowały mnie bębny rockowe i gitara jazzowa. Uprawiałem te dwie dziedziny jednocześnie, choć drugą bardziej hobbystycznie, dla siebie...

— To takie muzyczne rozdzielenie jaśni?

— Kompletna schizofrenia! Jazz fascynował mnie i zadziwiał, na perkusji miałem z kolei propozycję gry w popularnym wtedy zespole Bank. Odmówiłem. W tamtym okresie pochłonęła mnie już do końca gitara. To było zaraz po wojsku — pojechałem na casting do Bandy i Wandy (zespół założony przez Wandę Kwietniewską, była wokalistką Lombardu — red.). Wziąłem ze sobą gitarę, ale na wszelki wypadek zabrałem też pałki do perkusji. Gdy w sali prób zobaczyłem Andrzeja Tylca za perkusją, wiedziałem, że perkusista nie będę. Pozostała mi wyteżona praca, żeby z człowieka, który interesuje się muzyką jazzową na gitarze, zostać rockandrollowym gitarzystą. **— Świetny skład tam zebrałście! Marek Kapłon (wówczas TSA), Henryk Baran (później Lombard), Jacek Krzaklewski (dziś Perfect), z którym stworzyliście doskonały duet gitarowy...**

— Przede wszystkim Andrzej Tylec, Marek Kapłon doszedł dopiero później. Wtedy to był muzyk z pierwszej ligi, legenda — Romuald i Roman, Breakout, Niemen... To tak jakby

— Kiedy od Nalepy szedłem do Bajmu — święte zgorzenie i odium zdrady bluesa. Gdy z Bajmu przechodziłem do Budki — „totalny upadek”. Teraz, gdy wreszcie środowisko jazzowe pogodziło się z moją obecnością — zostałem szefem zespołu Anny Wyszkonii — gitarzysta Marek Raduli mówi o swojej zagmatwanej karierze muzycznej.